



KRZYSZTOF FRYSZTACKI*

O KWESTII SZKÓŁ (SEMI-SZKÓŁ) W OBSZARZE PRACY SOCJALNEJ – W UJĘCIU ESEISTYCZNYM

ABSTRAKT

Pojawianie się i rozwój szkół naukowych to jedna z istotnych cech charakterystycznych rozwoju nauki w ogóle. Do pewnego stopnia dotyczy to również pracy socjalnej, stąd też kategoria „semi-szkoły”. W tym krótkim artykule skorzystano z kilku przykładów amerykańskich oraz polskich. Analizując historię pracy socjalnej, warto uwzględnić ten kierunek.

SŁOWA KLUCZOWE: szkoły naukowe, semi-szkoły, tradycja pracy socjalnej

Na wstępie: w jakim sensie i dlaczego w ujęciu eseistycznym? W odpowiedzi wyjaśnimy, że ta wypowiedź (nie nazwiemy jej artykułem w konwencjonalnym znaczeniu) zamierzona jest w wariacie swobodnym, jako swoisty „lekki”, by pozwolić sobie na takie określenie, wykład mający zasygnalizować i skromnie odzwierciedlić bardzo bogatą oraz złożoną problematykę. W swej istocie jest to problematyka zasługująca na zaawansowane studium monograficzne, z wszystkimi właściwymi temu składnikami, w tym naturalnie bibliograficznymi. Piszący te słowa może tylko zachęcić innego zaangażowanego autora czy autorkę, by podjąć się takiego zadania, a i sam nie wyklucza, że ów wątek być może monograficznie rozwinię. W tym miejscu chodzi tylko o względnie swobodne – by raz jeszcze rzec – zasygnalizowanie tego problemu oraz na wskazanie kilku wybranych linii wyobraźalnej analizy.

Zapytajmy więc, co właściwie ma oznaczać kategoria szkoły, zwłaszcza w ramach poszczególnych dyscyplin naukowych, chociaż nie pomijamy

* Uniwersytet Jagielloński; ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-6832-6021>

przejawów interdyscyplinarności. W odpowiedzi wskażmy na kilka podstawowych, konstytutywnych czynników.

Po pierwsze, jest to przejaw pewnej wyróżniającej się oraz w danych realiach potwierdzonej sytuacji zespołowej. Chodzi wręcz o wspólnotę, której członkowie są gotowi i chcą funkcjonować do pewnego znaczącego stopnia razem, jeśli chodzi o idee, ale również ich empiryczno-aplikacyjne konteksty. Zabrzmi to bardzo banalnie, ale szkoła naukowa musi być „ich”, a nie tylko „jego” lub „jej”. Wskazywane zjawisko to nie sytuacja samotników, choćby tak autentycznych, jak Baruch Spinoza, czy też nieco przysłowio-owych, jak Immanuel Kant.

Po drugie, pewna znowu uchwytna „wspólnota” (co tym razem zapiszemy w cudzysłowie) owych idei i zastosowań, polegająca na takowej zgodzie na te poglądy, co jednak nie oznacza bezwarunkowej akceptacji, a czasami wręcz odwrotnie, zasadnicze polemiki, jednakże w ramach dominującego paradygmatu.

Po trzecie, cechą charakterystyczną szkół stają się „założyciele”, liderzy, przedstawiciele w tym wymiarze szczególnie znamienni i znani. Czy bywają kontestowani? Naturalnie tak, a być może dla swoistej żywotności danej szkoły powinni, jednak znowu w pewnej zgodzie, czy i po co ta szkoła jest.

Szkoły naukowe, powtarzając za innymi, są zarówno charakterystycznym, jak i pod różnymi względami pozytywnym fenomenem w szeroko rozumianym procesie rozwoju, wzmacniając jego dynamikę w określonych okresach i wobec właściwych im wyzwań. Jest jednak również tak, że właściwe mogą im być negatywne aspekty, chociażby w postaci groźby petryfikacji danych przemyśleń i działań, także ewentualnej ograniczonej otwartości na inne rozwiązania. Zagadnienia te wymagają dalszych analiz, w tym w wymiarze porównawczym.

Czy to zjawisko, wymagające naukoznawczego podejścia, może być m.in. rozpoznane i interpretowane w pracy socjalnej? Zdecydowanie tak! Wręcz należy postępować w tym kierunku. Jednakże z pewnymi z jednej strony uszczegóławiającymi, z drugiej strony ograniczającymi założeniami. Zwróćmy zatem uwagę na niektóre jak się zdaje wymagające uwzględnienia konteksty.

Poniekąd główną właściwością, która ma wpływ na dyskutowane tutaj zagadnienie, jest specyficzna dwoistość. Praca socjalna, do jakiegokolwiek definicji byśmy ad hoc nie sięgnęli, odznacza się fundamentalnym myśleniem – i działaniem – w kierunku interwencyjnego, pomocowego aktywizmu. Po prostu nie ma pracy socjalnej, tej jaką znamy, bez wskaza-

nia na wspomaganie jednostek, grup, społeczności we wzmacnianiu bądź odzyskiwaniu zdolności do społecznego funkcjonowania, na sprzyjanie stosownych na rzecz tego warunków społecznych. Służące temu wiedza, umiejętności oraz wartości są oczywistymi korelatami. Co za tym idzie, moglibyśmy rzec, że cała praca socjalna jest specyficzną szkołą takowego aktywizmu, takowej dynamiki na rzecz innych i z innymi, owymi wymagającymi wsparcia jej partnerami.

Jednakże z przekonaniem moglibyśmy również wskazać na, powiedzmy tak, migotliwość pracy socjalnej, na wielość i wielorakość wszystkich kluczowych czynników, od znanych i wpływowych osób począwszy, przez punkty widzenia i ich osadzenie w danych środowiskach, z akademickimi na czele, do tego wszystkiego, co występuje czy na kartach publikacji, czy w publicznej debacie, czy działaniach naznaczonych tymi wprowadzającymi założeniami. Punkt wyjścia jest oczywisty: owa niezwykła wielość oraz zmienność zjawisk, zdarzeń, okoliczności, coraz dotkliwiej odczuwanych i precyzyjniej identyfikowanych potrzeb w ludzkim życiu, którym można, zgoła należy, starać się wychodzić naprzeciw.

Ta dwoistość podlega spleceni. Jeśli z pewnych, piszącemu te słowa bliskich, powodów moglibyśmy wskazać Thomasa Chalmersa jako ojca założyciela procesu, którego pokłosiem jesteśmy dzisiaj, byłby to dobry przykład czegoś już wspólnotowego, z niekwestionowanym liderem, ale też z ogólniej podzielanymi sposobami myślenia i działania. Zatem była to na w pół intuicyjna, na w pół wynikająca już z wyjściowych badań i refleksji ogólna zapowiedź tego, czym jesteśmy obecnie. Ale następne linie rozwoju były i pozostają, jak doskonale wiemy, zróżnicowane. Zatem to, co nas interesuje, występowało oraz występuje w obrazie pluralistycznym, co uchwycimy przy pomocy oczywistej liczby mnogiej.

Jeśli tak, pozwólmy sobie na skorzystanie z roboczego określenia „semi-szkoły”, dążąc do zasygnalizowania, że w pracy socjalnej mamy do czynienia z interesującym nas fenomenem, ale raczej do pewnego stopnia, z ograniczonym, ale jednak godnym wyróżnienia mechanizmem, który w naukowczo interpretowanych szkołach występuje, jak się sądzi, w pełnym rozkwicie. Semi-szkoły pracy socjalnej to, w prezentowanym ujęciu, stosunkowo skromne, w szczególności w polskich realiach, o czym dalej, ale jednak uchwytne zjawisko owego ideowo-praktycznego bycia razem. Gdy np. wracamy myślami do Szkoły Frankfurckiej w analizach filozoficzno-socjologicznych, czy Szkoły Chicagowskiej w obszarze badań socjologiczno-miejskich, to uspra-

wiedliwiony zdaje się wniosek, że porównywalna rzeczywistość charakteryzująca rozwój pracy socjalnej jest właśnie pod względem tych mechanizmów skromniejsza. Tym niemniej, powtórzmy raz jeszcze, właściwe temu rozwojowi tak zwane przez nas semi-szkoły są realne.

Pozostając przy „poetyce” eseju, nie rezygnujemy jednak całkowicie z bardziej regularnego wskazania tylko kilku wybranych pouczających źródeł, bez odwołania się do których trudno sobie wyobrazić dyskusję poświęconą szkołom w pracy socjalnej. Przy czym, ze względu na intelektualne i środowiskowe, powiedzmy tak, upodobania piszącego te słowa, niech to będą amerykańskie kierunki odniesienia. *Tres faciunt collegium* – a zatem wskazane tutaj nadzwyczajne twórcze trio tamtejszej pracy socjalnej niech ze szczególną siłą posłużą nam do odzwierciedlenia dynamiki oraz mechanizmów kształtowania się idei w obszarze pracy socjalnej, jak również, co aż nazbyt oczywiste, ich funkcji aplikacyjnych. Obok nich trudna do ogarnięcia wielość innych postaci i powiązanych z nimi przykładów w różnych krajach świata; bogactwo pracy socjalnej jest cechą bezdyskusyjną.

Zatem Jane Addams (patrz przede wszystkim 1910–1990). Postać o zadziwiającej wyobraźni, energii, osobistym zaangażowaniu w rozwiązywanie realnych, będących niejako w zasięgu ręki problemów społeczno-socjalnych. Czy fakt, że ta, jak z przekonaniem powiemy, najgłośniejsza przedstawicielka naszego socjalnego losu i tożsamości (choćby bodajże nigdy nie określiła się jako *social worker*) otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla, miał, ma nadal dla nas wszystkich znaczenie? Z pewnością tak, ale to tylko symbol. Zanim urósł do tego dostojnego wymiaru, były dziesiątki lat przede wszystkim Hull-House, tego z jednej strony, wyjątkowego chicagowskiego siedliska społecznego, a z drugiej strony, wzoru grupowej mobilizacji i naznaczonego entuzjazmem działania w warunkach i w odniesieniu do ludzkich problemów, które narzucały poważne wyzwania, ale które skłaniały do zdecydowanego podjęcia tego eksperymentu na rzecz rozwiązywania tych problemów w nowych warunkach miejsko-przemysłowych. Czytelne i decydujące było przy tym założenie, że różnice społeczne – same w sobie o sytuacyjnie drastycznym charakterze – dają się szczególnie we znaki w wymiarze możliwości socjalnych i edukacyjnych tych, którzy znajdują się na negatywnym biegunie wektora nierówności. Przy tym ani Addams – przecież osoba o wysokim statusie społecznym – ani cały współpracujący zespół nie bali się konkretnego reagowania na najbardziej bolesne okoliczności dotyczące tych, którym starano się wychodzić naprzeciw ze wsparciem.

Temu zaś miała służyć organizacja „tu i teraz”, z wykorzystywaniem choćby takiej przytłumionej codziennymi trudnościami ludzkiej cechy, jaką jest życzliwość. Ale także z uruchamianiem innych mechanizmów, w tym ogólniejszych w formie swoistego aktywistycznego „natarcia”, przedstawiania oczekiwań wobec tych, którzy dysponowali władzą materialną i polityczną. Tak, to autentyczna szkoła działania.

Z kolei Werner Boehm (patrz przede wszystkim 1959). *Mr. Curriculum*, jak z podziwem i sympatią nazywany był przez swoje koleżanki i kolegów, decydująca postać w procesie zaawansowanego kształtowania standardów edukacyjnych na rzecz akademickiej pracy socjalnej. Zespołowy wysiłek, którym kierował i którego kierunki wyznaczył, był, nie wahajmy się rzec, szczytowym osiągnięciem na rzecz tego, co skądinąd kluczowe, uzyskania przez pracę socjalną statusu uznawanej, szanowanej dyscypliny wśród innych, w środowisku, o którym doskonale wiemy, że jest wymagające, że oczekuje akceptowanych w wymiarze ogólniejszym zadań i rezultatów. Tamtejsi czołowi przedstawiciele naszej dyscypliny szybko i wcześniej zdawali sobie z tego sprawę, wykuwając niejako akceptowane miejsce pracy socjalnej wśród innych, przedstawiając własne pod tym względem punkty widzenia i argumenty; taką m.in. funkcję miała książka *Social Diagnosis* Mary Richmond. Co za tym idzie, takie ogólne zalecenia programowe zaczęły odgrywać wpływową rolę w akademickim procesie rozwoju, a od dokładnie siedemdziesięciu lat stowarzyszenie *Council on Social Work Education* jest przemożnym środowiskowym podmiotem określania zasad i akredytowania placówek wyższego wykształcenia. Na tym tle wielotomowe studium z decydującym przewodnim wkładem Boehma jawi się po dzień dzisiejszy jako wyjątkowy przejaw takiego całościowego przemyslenia właściwości pracy socjalnej, które ma prowadzić do efektywnej operacjonalizacji edukacyjnej. Wymaga to badań własnych, czego sygnałem oczywiście jest sam tytuł *Curriculum Study* i co pozostaje niekwestionowanym zaleceniem dla nas wszystkich.

Wreszcie Frederic Reamer (patrz np. 2013). Jeśli konteksty etyczne są bezdyskusyjnym składnikiem pracy socjalnej, to temu nadzwyczaj płodnemu i wpływowemu autorowi zawdzięczamy ten wątek bardziej niż komukolwiek innemu. Szeroko rozumiana aksjologia, jako warunek konieczny rozwoju dyscypliny, przekształcona została w pracy socjalnej w linię analiz, a w konsekwencji konkluzji o ściślej określonym etycznym wymiarze. Tylko w jednym zdaniu zasygnalizujemy coś skądinąd doskonale znanego,

pojawianie się i modernizowanie kodeksów traktowanych jako znaczące, a może nawet zobowiązujące wskazania. Łatwo sobie wyobrazić, że jest to trudny i dyskusyjny problemat; podstawy moralne oraz ich etyczne precyzowanie mogą być, w istocie są, skomplikowanym, różnorodnym spłotem i dynamicznym zjawiskiem. Odpowiedzią na to jest m.in. ten mechanizm, który charakteryzuje pracę socjalną, dochodzenie do przynajmniej względnego porozumienia, ustalanie możliwego do zaakceptowania konsensusu. Jak to jest jednak możliwe? Znowu warunkiem koniecznym jest uporczywe wnikanie w istotę rzeczy. To zaś w szczególności charakteryzuje wieloskładnikowy dorobek Reamera, wpływający na całość ujmowania tych zagadnień i integrujący poglądy innych w szerokim środowisku. Zwróćmy tylko uwagę na wątek odpowiedzialności, zarówno wobec klientów, jak i swojego zawodowego otoczenia, jak wreszcie wobec zinstytucjonalizowanych miejsc, w których prowadzona jest praktyka. Kryją się za tym rozliczne zagrażające sytuacje, które wymagają korygującej reakcji, a jednocześnie zmierzanie do integralności całej profesji w podstawowej funkcji w dążeniu do pomyślności tych, dla których rozwijana jest aktywność.

Wskazane przykłady odznaczają się pewnymi wspólnymi cechami. Po pierwsze, wszystkie one są znanymi i wpływowymi wymiarami oddziałującymi na losy pracy socjalnej, na kierunki jej rozwoju oraz specyfiki. Po drugie, w przypadku każdego z nich mamy do czynienia z wybitnymi liderami, rzutującymi swymi zdolnościami, energią i aktywnością na ogólniejsze obrazy budowanego i kontynuowanego postępowania. Po trzecie, w przypadku każdej z tych okoliczności mamy do czynienia ze spłotem uogólnionych idei i wzorów, dzięki czemu tenże ogólniejszy, rozprzestrzeniający się wpływ stał się i pozostaje czytelnym mechanizmem wpływającym na całą dyscyplinę. Co za tym idzie, po czwarte, powiedzmy tak, służą całościowej integracji pracy socjalnej, przyczyniają się do jej – nie bójmy się tego określenia – rozgłosu oraz uzyskiwanego szacunku. Dodajmy od razu, że każda dyscyplina takowego zewnętrznego uznania potrzebuje, a nasza nie jest pod tym względem niczym wyjątkowym, a raczej przeciwnie, co moglibyśmy osobno rozwinąć. To aż nazbyt oczywiste, że nie jesteśmy w społecznej próżni i że sposób postrzegania nas przez innych ma zasadnicze znaczenie.

Jak w związku z tym spojrzeć na polską pracę socjalną? Zagadnienie z pewnością może budzić wątpliwości, ale jednak pozostaniemy przy domniemaniu, że również w naszych krajowych warunkach mamy prawo mówić o owych semi-szkołach, choć być może z większymi wahaniem.

Niech temu znowu służą pewne wybrane wersje rozumowania. Stwierdźmy jednak, powtórzmy, że jeśli już poprzedzające amerykańskie przykłady mogą być dyskusyjne, co poniekąd zmusiło do skorzystania z owego roboczego przedrostka „semi”, to znaki zapytania i ewentualne wątpliwości, polemiczne reakcje w przypadku rozwoju tej naszej pracy socjalnej zdają się rysować jako mocniejsze. Jednakże również w okolicznościach polskich pozostańmy przy tym punkcie widzenia.

Spójrzmy nieco chronologicznie, próbując wskazać na pewne pojawiające się znamienne orientacje i ploty charakterystycznych właściwości.

Pierwszym takim nurtem niech będzie znamienne pokłosie aktywności podejmowanych w środowiskach lokalnych, nadawanie tym środowiskom specyficznego socjalno-pomocowego kolorytu. Pozwólmy sobie na zasygnalizowanie, że w różnych miejscach naszego kraju mieliśmy (mamy?) do czynienia z występowaniem swoistego *genius loci*, z podzielanym w poszczególnych społecznościach lokalnych, społecznościach miejskich, przekonaniem, iż zasadniczym ludzkim, a w konsekwencji zbiorowym obowiązkiem jest dostrzeżenie występujących niejednokrotnie w ukryciu dotkliwych problemów wśród nas i zmobilizowanie do stosownego wspierającego działania. Zjawisko zapoczątkowane niejednokrotnie bardzo dawno, a z pewnością o godnej podkreślenia dynamice już w XIX wieku i oczywiście minionym stuleciu; zjawisko właściwe wielu środowiskom na naszych ziemiach. Czy można posłużyć się przykładem Krakowa? Choćby dlatego, że to miasto, dzisiaj wielkie, zapewne zbliżające się do miliona mieszkańców i czasowych przybyszów, jeszcze stosunkowo niedawno było po prostu małe, kilkudziesięcioletnie – a jednocześnie wypełnione interesującymi nas przejawami owej socjalno-pomocowej wspólnoty; zwykle zespołowymi, zarówno po chrześcijańskiej, jak i żydowskiej stronie, ale też z wyjątkowymi przejawami indywidualnego zaangażowania, by przywołać Adama Chmielowskiego – Brata Alberta – Ludwika i Annę Helclów, czy Marię Schreiberową. Inicjatywy uderzające różnorodnością, a jednocześnie praktycznym postępowaniem, w dążeniu do diagnozowania poszczególnych ludzkich problemów i konkretnego wspierania, by je rozwiązywać lub przynajmniej osłabić. Miejski duch, miejska energia.

Jeśli wskazaliśmy na rozwój zakorzeniony w realiach i inicjatywach lokalnych, to niejako po przeciwnej stronie rysuje się obraz ogólnokrajowy, skorelowany przede wszystkim z odrodzeniem naszej niepodległości i powstaniem Drugiej Rzeczypospolitej. Mamy pod tym względem do czy-

nienia z charakterystycznymi inicjatywami. Przede wszystkim podkreśliły, że w nadzwyczaj skomplikowanych warunkach politycznych, militarnych, ekonomicznych w tym naszym zbiorowym całościowym życiu pojawiło się dość sił, by zwrócić się też ku problemom społeczno-socjalnym, by odpowiedzieć na nie dążeniem do ich uszczegółowienia oraz do poszukiwania możliwych rozwiązań. Co istotne, te siły zostały wprowadzone w czyn w świecie akademickim, co miało istotny wpływ na swoisty klimat w szerszym obszarze nauk. Autor pozwala sobie na całkowicie niezobowiązujące, robocze określenie pewnego szczególnie znamiennego nurtu mianem Warszawskiej Szkoły Socjologiczno-Socjalnej. Powiążmy ją z Instytutem Gospodarstwa Społecznego i z kierowniczą, a zarazem twórczą rolę Ludwika Krzywickiego. Dzięki temu wyróżniającemu się kręgowi badań i debat, ale również na zewnątrz ukierunkowanemu zaangażowaniu, powstały dzieła, których znaczenia nie sposób przecenić: *Pamiętniki bezrobotnych* oraz *Pamiętniki chłopów*. Łatwo dochodzimy do wniosku, że mamy w tych przypadkach powiązanie z metodą korzystania z dokumentów osobistych. Jednocześnie dzięki nim nasi poprzednicy uzyskali niezwykle wartościowy obraz życia ludzi, którzy z jednej strony zmagali się z bardzo trudnymi warunkami egzystencji, a z drugiej strony potrafili zadziwić determinacją w dążeniu do jej poprawienia. To coś bardzo ważnego z punktu widzenia dalszych możliwych działań.

Zwróćmy w tym miejscu uwagę na pytanie o narodowy komponent w naszej pracy socjalnej; pytanie znowu dyskusyjne, ale z różnych względów, w tym społeczno-kulturowych, usprawiedliwione. Podstawowy dylemat jest zapewne oczywisty. Praca socjalna jako taka zdaje się być przede wszystkim międzynarodowa, globalna jako czynnik oddziałujący na nasze wspólne ludzkie losy. Jednakże nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z właściwościami, które są kulturowymi pierwiastkami i wzorami funkcjonowania poszczególnych społeczeństw. Tak jest, powiedzmy, wszędzie i ów czynnik miał też uchwytne wpływy na kształtowanie się i rozwój polskiej pracy socjalnej. Sama budowana ogólnospołeczna tożsamość narodowa (przy czym myśląc o ogarnięciu nią ludu, przyjmijmy, że zaczęła nabierać wyrazistości w 2 połowie XIX wieku) stała się niebagatelnym przyczynkiem do postrzegania problemów społecznych oraz dążenia, by im sprostać. „Nasza” praca socjalna wręcz od początku naturalnie nie była pozbawiona cech modernizującej organizacji, tak istotnej dla społeczeństw zachodnich. Jednakże takie znaki i wzory, które płyną z podkreślonej raz

jeszcze narodowej tożsamości, zalecenie służby na rzecz wspólnoty, odpowiedzialności za polską pomyślność, pozytywnego przekonania o nieformalnych więziach społecznych, także o możliwościach wynikających z procesów żywiołowych, występowały (nadal występują?) w wachlarzu jej właściwości. Jest tak w konfrontacji z mechanizmami stawania się ładu społecznego, ciągłego postrzegania tych zalet, które wynikają z życia wspólnotowego, z sięgania do tradycji. Powiedzmy – co zapewne ryzykowne, ale jednak – o swoistym socjalnym narodowym światopoglądzie.

Wreszcie przerzucmy pomost do przykładu najświeższej, w porównaniu z wcześniejszymi, daty. Podkreślmy skupiającą, merytorycznie integrującą rolę Polskiego Stowarzyszenia Szkół Pracy Socjalnej. W tej chwili już ponad trzydziestoletnia historia tego bycia razem to nieprzerwany proces wykuvania wyjściowych założeń, punktów widzenia, dążeń do podsumowania tego, co specyficznie polskie, ale w związku z rozwojem międzynarodowym. Stowarzyszenie od początku stało się i pozostaje wyróżniającym się sposobem dochodzenia do wzajemnego zrozumienia socjalnego problemu oraz porozumienia, jak na niego reagować teoretycznie, empirycznie, aplikacyjnie. Wystarczy, jeśli przywołamy nieprzerwany ciąg konferencji oraz będących ich pokłosiem publikacji. Fakt, że przybierały one postać studiów zbiorowych, mówi sam za siebie, jest czytelnym sygnałem, iż w naszym rosnącym polskim gronie mamy sobie coś istotnego nawzajem do przekazania. Warto zachęcić się nawzajem, by ta linia publikacyjna została poddana analizie i być może całościowej podsumowującej interpretacji. Jest ona wielowątkowa, z bardzo zróżnicowanymi wypowiedziami. Z jednej strony, skłaniałoby to do konkluzji, że mamy do czynienia raczej z wielorakością punktów widzenia, co osłabia argument będący u podstawy tych rozważań o semi-szkółach. Z drugiej jednak strony, spójrzmy na to zagadnienie jako na czynnik wzajemnego merytorycznego zbliżania się, wykuvania czegoś uogólniającego, co m.in. nabiera wpływu oddziałującego na zewnątrz, choćby w naszych instytucjach wyższego wykształcenia, w okolicznościach, w których przedstawiciele pracy socjalnej konfrontują się z innymi w sensie dyscyplin koleżankami i kolegami. To ważne i pozytywne. Dopowiedzmy również coś, co aż nazbyt oczywiste – godne kontynuacji.

Dodatkowo, w wersji postscriptum, pisząc o tych polskich sprawach, zwróćmy uwagę na zakorzenienie poszczególnych zagadnień pracy socjalnej w wielu znowu od mniej więcej trzydziestu lat ośrodkach akademickich. Kwestia ta była już przedmiotem nieco uszczegóławiających uwag – i po-

winna być w przyszłości dokładniej zinterpretowana, do czego tylko można zachęcić. Tutaj ograniczmy się tylko do takiego sygnałnego wzmiankowania.

Szkoły, semi-szkoły, może tylko swobodniej ujmowane orientacje, kierunki zespołowo osadzonej refleksji oraz działania. Przy tym jeszcze owe uniwersyteckie ośrodki. Jeśli w nauce – w tym naturalnie w naukach społecznych – mamy do czynienia z tym oczywistym zjawiskiem, to od razu potwierdźmy raz jeszcze, że charakteryzuje ono również losy pracy socjalnej. Prezentowana wypowiedź opiera się na założeniu, że w naszej dyscyplinie odgrywają niebagatelną rolę. Jest to istotna kwestia, wymagająca dalszych rozważań i debaty. Warto je realizować.

BIBLIOGRAFIA

- Addams, J. (1910–1990). *Twenty Years at Hull House with Autobiographical Notes*. Urbana, IL: University of Illinois Press.
- Boehm, W.W. (red.). (1959). *Social Work Curriculum Study* (Vols. 1–13). New York, NY: Council on Social Work Education.
- Reamer, F.G. (2013). *Social Work Values and Ethics*. New York, NY: Columbia University Press.

THE SCHOOLS (SEMI-SCHOOLS) ISSUE IN THE SOCIAL WORK AREA – ESSAYISTIC APPROACH

ABSTRACT

The appearance and development of scientific schools is one of the important characteristics of the development of science in general. To certain degree it also applies to social work so we are introducing the “semi-schools” category. In this short paper few American as well Polish examples are being used. During analysis of history of social work it is worthy to take this direction into consideration.

KEYWORDS: scientific schools, semi-schools, tradition of social work